

W minionym tygodniu Sejm pochylił się nad poselskim projektem nowelizacji ustawy – Prawo oświatowe w zakresie tzw. edukacji domowej (druk nr 464). Przebieg pierwszego czytania wskazuje, że projekt ten może zyskać przychylną Izby Niższej – co jest o tyle zrozumiałe, że został złożony przez grupę posłów partii rządzącej. Mniej zrozumiałe jest z tego względu, że jest szkodliwy dla systemu oświaty w Polsce.

Istotą edukacji domowej jest spełnianie obowiązku szkolnego poza szkołą. Innymi słowy – rodzice podejmują decyzję, że biorą na siebie obowiązek przekazania swoim dzieciom zakresu wiedzy wymaganego przez podstawę programową. Tak nauczane dziecko uzyskuje roczne oceny klasyfikacyjne na podstawie rocznych egzaminów klasyfikacyjnych z zakresu części podstawy programowej obowiązującej na danym etapie edukacyjnym. Uczeń pobierający w ten sposób naukę jest przypisany do określonej szkoły, w której przystępuje do egzaminów klasyfikacyjnych i która otrzymuje na tego ucznia odpowiednią kwotę w ramach części oświatowej subwencji ogólnej.

Jedną z kluczowych zmian zawartych w procedowanym projekcie ustawy jest ustawowe zagwarantowanie, że wysokość właśnie tej kwoty subwencji oświatowej na ucznia nauczanego w edukacji domowej ma mieć wysokość 0,8 kwoty jednostkowej na ucznia przeliczeniowego w finansowym standardzie A, czyli kalkulacyjnej kwoty jednostkowej na ucznia przeliczeniowego. Zadziwiająca to zmiana i to z dwóch co najmniej powodów.

Po pierwsze – w dotychczasowym stanie prawnym całość zagadnień dotyczących podziału części oświatowej subwencji ogólnej, włącznie z definicją standardu A, jest uregulowana w akcie podstawowym – rozporządzeniu Ministra Edukacji Narodowej. Na poziomie ustawy nie jest gwarantowany poziom środków dla jakiegokolwiek szkoły, czy placówki. Nie chodzi już zatem nawet o to, że cały przepis jest sprzeczny z zasadami legislacji – tylko o to, że trudno racjonalnie wyjaśnić dlaczego akurat edukacja domowa ma mieć ten przywilej, by środki dla siebie mieć zagwarantowane ustawowo. Na marginesie – w przywołanym właśnie rozporządzeniu do edukacji domowej jest przypisana i tak wysoka waga 0,6. Projektodawcy postulują zatem jej podniesienie.

Po drugie – założmy przez moment, że standard A odpowiada rzeczywistym kosztom kształcenia uczniów w szkole publicznej. W takiej, w której trzeba zatrudnić nauczyciela do każdego z przedmiotów obowiązkowych i to na zasadach określonych w Karcie Nauczyciela. W takiej, w której na bieżąco trzeba ponosić wszystkie koszty rzeczowe – opłaty za media, sprząatanie, zakup pomocy dydaktycznych. To teraz porównajmy koszty takiej szkoły ze szkołą prowadzącą edukację domową. Tutaj oczywiście mamy różne przypadki. W szkole, w której mamy jednego ucznia w oddziale klasowym, który jest na edukacji domowej, uczeń taki kosztuje praktycznie tyle samo, co każdy inny. Po prostu i tak jest konieczność realizacji standardowych zajęć – tyle że na zajęciach w klasie jest o jednego ucznia mniej. Zupełnie inaczej wygląda sytuacja szkół, które praktycznie w całości opierają się na uczniach w edukacji domowej. Trudno oprzeć się wrażeniu, że o takie właśnie szkoły chodzi skoro sami projektodawcy wskazują, iż projekt ma umożliwić rodzicom przypisanie do szkoły, która będzie „rozumiała specyfikę edukacji domowej i dzięki temu tworzyła sprzyjające warunki dla tej formy edukacji.” A jakie koszty ponosi szkoła, która ma uczniów, których właściwie nie widzi na oczy? Co do zasady uczeni są oni w domu, przez rodziców. Zdaniem autorów koszty prowadzenia takiej szkoły to... 80% kosztów szkoły zwykłej. Oczywiście jest to pewne uproszczenie – należałoby dodatkowo uwzględnić liczbę uczniów w oddziale klasowym i podobne czynniki, ale nie zmienia to sensu porównania.

Tak, osiemdziesiąt procent – w sytuacji gdy działanie szkoły polega na przeprowadzeniu egzaminów

klasyfikacyjnych. Zwolennicy edukacji domowej zapewne przypomną w tym miejscu, że przecież uczeń realizujący obowiązek szkolny poza szkołą ma prawo uczęszczać do niej na pewne zajęcia. Owszem – tyle że dotyczy to: dodatkowych zajęć edukacyjnych, zajęć rewalidacyjnych dla uczniów niepełnosprawnych (na których dodatkowo jest naliczana część oświatowa subwencji ogólnej), zajęć prowadzonych w ramach pomocy psychologiczno-pedagogicznej (częściowo też dodatkowo finansowanych), zajęć rozwijających zainteresowania i uzdolnienia uczniów oraz zajęć z zakresu doradztwa zawodowego. Gdyby na serio potraktować ten argument to znaczyłoby, że koszty realizacji zajęć obowiązkowych wynoszą... 20% środków naliczanych na szkołę. Jest to oczywisty bezsens.

Inną sprawą jest możliwość uczestniczenia uczniów w takich zajęciach, skoro zgodnie z tym samym projektem uczeń ma mieć prawo wybrać sobie szkołę, do której jest przypisany nie w obrębie macierzystego województwa, tylko całego kraju. Jakoś nie wyobrażam sobie, by uczeń ze Szczecina dojeżdżał na zajęcia do „swojej” macierzystej szkoły położonej np. w Rzeszowie. Mogę sobie wyobrazić, że być może pojedzie tam na jakiś kilkudniowy obóz, ale koszty takiego wydarzenia będą się miały nijak do kwot gwarantowanych w projekcie ustawy.

Przedłożony projekt jest zatem sposobem nieuzasadnionego transferu środków publicznych na rzecz szkół, które znalazły sobie lukę rynkową.

Można zadać w tym miejscu pytanie – komu by to miało przeszkadzać, skoro państwo chce preferencyjnie potraktować określoną grupę szkół. Odpowiedź jest oczywista – wszystkim innym szkołom. Wynika to z faktu, że część oświatowa subwencji ogólnej nie jest naliczana, tylko dzielona. Różnica jest kolosalna. W przypadku naliczania subwencji poszczególne zadania oświatowe byłyby wycenione na określonym poziomie, a łączna kwota części oświatowej subwencji wynikałaby z przemnożenia wyceny przez zakres usług. Jest jednak inaczej – ustawa budżetowa z góry określa kwotę części oświatowej subwencji ogólnej, a ona jest potem dzielona na poszczególne podmioty. Oznacza to, że podniesienie którejkolwiek z wag algorytmu podziału części oświatowej subwencji prowadzi do zmniejszenia się kwot subwencji uzyskiwanej przez wszystkich innych niż ci, których podwyższana waga dotyczy. Uchwalenie przedłożonego projektu będzie zatem oznaczało zabranie środków z przeważającej większości szkół, po to by przekazać je niewielkiej grupie szkół prowadzących nauczanie domowe. W czym to jest interesie?